



Stanisław Antoni Wotowski

KRWAWA HRABINA BÁTHORY

mroczna powieść historyczna

Armoryka

Stanisław A. Wotowski
Krwawa hrabina Báthory

Stanisław Antoni Wotowski

Krwawa **hrabina** **Báthory**

mroczna powieść historyczna

Armoryka
Sandomierz 2018

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: François Clouet (1515–1572), *Kobieta w kąpielni* (fragment), (ok. 1515), licencja *public domain*, źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:François_Clouet_-_A_Lady_in_Her_Bath_-_Google_Art_Project.jpg

Wydanie na podstawie edycji:
Stanisław Antoni Wotowski (1895-1939).
Krwawa hrabina. Sensacyjna powieść historyczna
Bibl. Echa Polskiego
Warszawa, 1933

W niniejszym wydaniu zmieniono tytuł i podtytuł,
a także uwspółcześiono pisownię.

Copyright © 2018 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-636-0

TAJEMNICZY ZAMEK

O rycerzu! Jakaż siła,
twoje kroki zapędziła,
w te bezludne strony?
Grom uderza, wiatr dmie w oczy,
potok z szumem fale toczy,
w ów kraj spustoszony.

Michály Vörösmarty
poeta węgierski († 1855 r.)

Był rok 1608. Silna wichura pieńiła mętne wody rzeki Wagu, siekł drobny deszcz i zapadał już mrok, kiedy młody szlachcic polski Stanisław Górka z dala dojrzał wyrastające przed nim jakieś potężne kontury.

Kontury, wznoszącego się na wzgórzu zamku.

– Hej! – rzekł – do jadącego nieco z tyłu pacholika. – Chwałaż Bogu! Widać ludzką siedzibę! Przemokłem do kości i myślałem, że w lesie wśród tej ulewy przyjdzie nam nocować!

– Piękne zamczysko! – przywodził pacholik, radośnie spozierając na wysokie baszty wznoszące się na wzgórzu i okolone szeregiem zabudowań. – Piękne zamczysko! Nie odmówią nam tu chyba gościny i noclegu!

Górka, ucieszony, spiął konia ostrogami i pospieszył w kierunku zamku. Zaiste, był to traf nader szczęśliwy. Bo, nie znając dobrze Węgier i zbłądziwszy wśród drogi, mógł być

przygotowany na przeróżne przygody i niebezpieczeństwa wśród nocy.

Węgry, podzielone wówczas pomiędzy Turcję a Austrię, skłócone, w stanie nieustannej wojny i ciągłych zamieszek, mało, zwłaszcza dla podróżnego, przedstawiały bezpieczeństwa, a każdy napotkany po drodze zajazd, mógł być nie tyle schronieniem ile pułapką i zbójcejką jaskinią. Wszędzie krążyły uzbrojone bandy, złożone z Serbów, Kroatów, Słowaków, ba nawet Tatarów, czyhające na łup i dla niewielkiego nawet łupu gotowe pozbawić podróżnego życia.

Toteż Górka rad pędził teraz w stronę magnackiej rezydencji. Nie orientował się, do kogo należeć może zamek, ale znając dobrze gościnność węgierskiej arystokracji, tuszył, że spotka się z serdecznym przyjęciem.

Istotnie, niezadługo wraz z pacholikiem znaleźli się pod zamek. Był on w rzeczy samej potężny jak większość wybudowanych na Węgrzech zamków, mających za cel obronę przed ciągłymi napadami i otoczony szeroką fosą. Na szczęście jednak znajdował się tam zwodzony most i był opuszczony obecnie.

– Wjeżdżajmy! – zawołał Górka i kopyta jego bachmata wesoło zadzwoniły po deskach. – Ale, cóż to? – raptem wykrzyknął.

Z dała dobiegł go jakiś jęk.

– Co to? – powtórzył.

Koło bramy znajdującej się na drugim końcu mostu, wsparty o nią stał jakiś człowiek i szlochał głośno. Raz po raz podnosił swą pięść i uderzał w bramę, jakby pragnął dostać się do wewnątrz, a tam go nie wpuszczano.

– Nie chcą wam otworzyć? – zapytał Górka i wpił się zdziwionym wzrokiem w nieznanego.

Jego wygląd istotnie przedstawiał się niezwykle. Był to wysoki, barczysty, starszy już mężczyzna, obrośnięty, bez czapki, o potarganych wichurą włosach i zmierzwionej brodzie. Opończę miał poszarpaną i zabłoconą, rzekłbyś, odbył daleką drogę, a oczy nabiegłe krwią nieprzytomnie patrzyły dokoła. Obojętnym wzrokiem obrzucił Górkę i jego pacholika, po czym znów z mocą wyrznął pięścią w okute żelazem drzwi i wycharczał:

– Zbrodniarze... Zbrodniarze...

Może począłby się go rozpytywać Górka i dowiedział z ust nieznanego, co znaczyła ta cała scena, gdyby wtem w murze nie rozwarło się jakieś okienko i nie ukazała się w nim głowa. Ściągnęły ją tam, zapewne, nie tyle uderzenia w bramę starego mężczyzny, który dobijał się do zamku bezskutecznie od dłuższego czasu, ile stuk kopyt końskich nowych przybyszów po zwodzonym moście.

– Állj, ki vagy? Kto idzie? – zabrzmiało po madziarsku zapytanie.

– Vendég! Gość! Podróżny! – odparł w tym samym języku Górka, gdyż władał nieźle tą mową.

Jednocześnie drgnął. Coraz dziwniejsza, poczynała się stać przygoda. Twarz, jaka ukazała się w okienku, była tak potwornie szpetna i wykrzywił ją taki wyraz złośliwości, że przestraszyć się jej można było nie tylko w nocy. Spłaszczony nos, olbrzymie uszy i ogromne usta niepokryte zarostem, nadawały jej coś zwierzęcego, a w świdrujących małych oczkach przebijała się drapieżność.

Nieufnym wzrokiem mierzył Górkę.

– Goście? – powtórzył, przenosząc oczy z Górki na nieznajomego. – Razem przybywacie?

Górka potrząsnął głową.

– Jestem wojewodzie Stanisław Górka! – dumnie rzekł. – Wraz z moim pacholikiem zmyliliśmy drogę i długo błąkaliśmy się wśród lasów. Przybywamy was prosić o gościnę. A tego człowieka – wskazał na nieznajomego – jako żywo nie znam i rad byłbym posłyszeć, czemu tak rozpacza.

Twarz tego, który wyglądał przez okno, jakby się rozpodziła. Znikł z niej cień niepokoju. Dostrzegł zapewne w mroku i pięknego wierzchowca, i bogaty, choć zmoczony ubiór Górki. Poznał, że z przedstawicielem znakomitego rodu ma do czynienia, bo na szpetnej twarzy pojawił się obleśny uśmiech i głosem skrzeczącym, ale któremu starał się nadać możliwie uprzejme brzmienie, wypowiedział:

– Zaraz rozkażę rozewrzeć bramę! Radzi jesteście waszej miłości...

– A czyżże ten zamek? – zapytał Górka.

– Jaśnie wielmożnej hrabiny Nádasdy! Zowie się Csejthe!¹

– Aha! – bąknął zadowolony, bo o hrabinie nieraz miał sposobność słyszeć na Węgrzech. – Tedy zameldujcie mnie waszej pani! Ale – dodał, przypomniawszy sobie nagle tajemniczego mężczyznę, który stał teraz podle jego konia i niby z nadzieją wpatrywał się w Górkę. – Czemuż nie chcecie go wpuścić? Wszak znużony, zmoczony i stary. Widać z odzienia, że przebył daleką drogę... Nie godzi się w taką

1 Zamek – siedziba hrabiny Elżbiety Bathory, po węgiersku *Csejtei vár*, po słowacku zaś *Čachtický hrad*. Ruiny zamku leżą obecnie nie w granicach Węgier, a Słowacji.

noc – wichura zawyła z nową siłą – człowieka ostawiać na dworze!

– To człek pozbawiony rozumu! – zabrzmiała odpowiedź.
– Sam nie wie, co gada...

– Ja, pozbawiony rozumu? – wrzasnął w tejże chwili mężczyzna. – Jak śmiesz, ty...

Dalsze słowa zagłuszył zgrzyt rozwieranej bramy. Górka wjechał na obszerny dziedziniec. Przy nim, trzymając go za strzemię, prześlizgnął się stary. Na dziedzińcu kręciło się sporo hajduków, ubranych dostatnio, lecz dziwnie ponurych, o minach niewzbudzających zaufania. Przy bramie zaś stał ten, który z nimi rozmawiał przez okienko. Gdy Górka mu się przyjrzał, mógł stwierdzić, iż cała jego postać była równie odrażająca, jak głowa. Był to garbus, ale niezwykle rozrośnięty w ramionach, o długich niczym u goryla rękach, zapewne obdarzony dużą fizyczną siłą. Musiał zajmować wyższe w domu stanowisko, gdyż hajdacy spozierali nań z bojaźnią połączoną z respektem.

– Zaraz doniosę jaśnie hrabinie o odwiedzinach waszej miłości! – Skłonił się nisko i uczynił kilka kroków w stronę jasno oświetlonego ganku, jakby Górcę wskazując drogę.

Z tej chwili skorzystał nieznajomy. Przyciśnięty wciąż blisko do konia Górki, wyszeptał:

– Jam nie jest szalony! Łże, potworny karzeł! Strzeż się szlachcicu! Tu zbójcecka jaskinia!

– Coście rzekli? – powtórzył Górka, dobrze nie rozumiejąc.

– Zbójcecka jaskinia! Więżą ją... Ilonę... Pragnę Ilonę wybłagać, wyprosić...

– Kogo więżą ?

– Ilonę... Pamiętajcie rycerzu... Pamiętajcie rycerzu, jeśli-
bym zginął! Nic ponadto wam rzec nie mogę, bo to przeklęte
monstrum znowu tu spieszy...

W rzeczy samej garbus nie dotarł do ganku, a jakby przy-
pomniawszy sobie o czymś, zatrzymał się w pół drogi. Przy-
pomniął sobie o owym dziwnym mężczyźnie i jemu teraz da-
wał znaki, żeby się zbliżył.

– Ej, dziadu! – krzyczał. – Nie nudź szlachtetnego pana!
Idź za Sándorem – tu wskazał na jednego z hajduków – do
czeladnej izby! Później załatwimy nasze sprawy!

Nieznajomy puścił strzemię Górki i rzuciwszy mu ostatnie
spojrzenie, jakby błagając o litość i pomoc, począł się odda-
ać. Lecz zdawało się, że z dala biegnie jeszcze szept.

– Strzeżcie się... Strzeżcie, rycerzu...

W innym wypadku cała ta scena i przepojone niepokojem
słowa zrobiłyby na Górcie inne wrażenie i nie tak łatwo opu-
ściłby nieznanego. A potworny garbus i hajducy o ponu-
rym wyglądzie przejęliby go obawą. Ale posłyszawszy, że
zamek zwie się Csejthe i należy do hrabiny Nádasdy, na
wszystko spozierał innymi oczami. Choć bliższych szczegó-
łów o hrabinie nie znał, to, co posłyszał w różnych węgier-
skich dworach, całkowicie wystarczało, aby wzbudzić do niej
całkowite zaufanie i respekt. Elżbieta, hrabina Nádasdy, uro-
dzona księżniczka Batorówna, miała być kobietą niezwykle
urodziwą i rozporządzającą olbrzymimi bogactwami. Owdo-
wiałwszy, powtórnie nie wychodziła za mąż, ale pono prze-
różne miewała kaprysy. Czasem mówiono o niej, że jest to
druga Kleopatra i że niejeden piękny kawaler poszczycił się
jej względami. W każdym razie była to wielka dama z potęż-
nego rodu Batorych i każdy poczytywałby sobie za honor

znaleźć się na jej dworze, bo na ogół żyła odosobniona, nie przyjmując nikogo.

Toteż, w związku z jej nazwiskiem, niezwykle otoczenie nabierało innego charakteru i wojewodzie cieszył się już z góry, że przed obliczem pięknej pani się znajdzie. Co zaś tyczyło się przygody z nieznanym starcem, to począł wierzyć, iż w rzeczy samej szalonego napotkał i mimo uszu puścił posłyszane ostrzeżenie. Tym bardziej że garbus, widocznie rad, że odciągnął szaleńca od nowego przybysza, zbliżywszy się, tłumaczył:

– Pozbawiony rozumu! Zmarła mu córka czy wychowanka! Z rozpaczki pomieszało mu się w głowie! Nie chce uwierzyć w jej śmierć i wszędy jej szuka! Szuka i oskarża, że mu ją porwano.

Wyjaśnienie to całkowicie zadowoliło Górkę. Zeskoczył z konia i rzuciwszy cugle pacholikowi, podążył równocześnie z garbusem. Rychło znaleźli się w olbrzymim przedsionku o ścianach zawieszonych zbrojami, najprzeróżniejszą bronią i rogami jeleni, a z tego przedsionku w jasno oświetlonej, bogato przybranej komnacie. Miała ona nieco charakter wschodni i tonęła wśród kosztownych makat i smyrneńskich dywanów. Nie dziwota. Choć Węgry wciąż walczyły z Portą Otomańską, zdążyły jednak przejąć w niektórych wypadkach turecki przepych i tureckie upodobania.

Pośrodku komnaty, jakby oczekując na ich przybycie, stała niewiasta, którą, zaiste, piękną nazwać było można. Słusznego wzrostu, w prawdziwie madziarskim typie, sńiadej czerze, kruczonych włosach i wielkich ognistych oczach. Na oko lat mieć mogła najwyżej trzydzieści i gdyby nie duma rozlana na jej obliczu w połączeniu z jakimś niesamowitym wyrazem

w żenicach, mogła pociągnąć każdego. Była odziana tak, jakby tylko co powróciła z konnej przejażdżki: w karmazynową, ściśniętą złotym pasem szubkę, oblamowaną kosztownym futrem, tureckie szerokie szarawary, jakich wówczas do podobnych przejażdżek używały węgierskie panie, i wysokie, męskie, safianowe buty.

W dłoni, na której połyskiwało kilka kosztownych pierścieni, dzierżyła bat, którym od niechcienia raz po raz niecierpliwie uderzała po cholewce.

– Piękna, bo piękna – pomyślał Górka. – Dla takiej warto i poświęcić życie!

Zapomniał natychmiast o dziwnym garbusie i ponurych hajdukach, kręcących się po podwórzu zamku.

Na widok Górki oblicze urodziwej damy rozjaśnił uprzejmy uśmiech, a słowa które wybiegły zza krwawych warg, były jeszcze słodsze.

– Witajcie, kawalerze! – rzekła. – Mówił mi Fitzke – wskazała na garbusa – żeście zbłądzili w podróży i szukacie w moim domu gościny. Rada was widzę. Cały dom stoi dla was otworem!

Skłonił się nisko.

– Wielki to honor dla mnie – odparł – znaleźć się w tak znakomitym domu! Sława wasza mościa hrabino, a raczej mościa księżno, bo pochodzicie ze sławnego domu Batorych, grzmi po całej Hungarii i szczęśliw jestem, że *vestram celsitudinem* – waszą wysokość poznaję i na własne oczy przekonać się mogę, że zaiste krasą starożytne boginie przewyższacie!

Obowiązkiem dobrze ułożonego kawalera było ukucie podobnego komplementu, jak i również przeplatanie swej

mowy łacińskimi zwrotami, co zarówno na Węgrzech, jak i w Polsce należało wtedy do dobrego tonu. Musiał jednak w słowach Górki, prócz zdawkowej grzeczności, przebijając szczerą zachwyty, bo piękna pani pokraśniała, cień zadowolenia przemknął w głębi źrenic i niby skromnie odrzekła.

– Nadtoście uprzejmi, rycerzu.

Górka uważał, że winien udzielić nieco informacji o sobie.

– Zwę się Górka! – rzekł. – Gwoli zwiedzenia Hungarii podróżuję po kraju! – Nie chciał jeszcze wyjawic powodu swej prawdziwej bytności na Węgrzech. – Z tych Górków, co najgoręcej elekcję naszego króla Stefana popierali, a waszego wielkiego krewniaka. Łączyły mnie więzy przyjaźni z drugim waszym krewniakiem Gáborem Batorym². Gdy jeszcze przebywał w Polsce.

– Ach, Gábor... – mruknęła bez wielkiego zapału, lecz grymas ten uszedł uwagi młodego szlachcica.

Aby zrozumieć dalszy bieg wypadków, słów parę należy poświęcić historii rodu Batorów. Ród ten zawsze należał do magnackich na Węgrzech, lecz do roli panujących podniósł go dopiero Stefan Batory, obrany początkowo na księcia Siedmiogrodu, a później na króla Polskiego. Po nim tron Siedmiogrodu przejął brat jego Krzysztof i w Księstwie Siedmiogrodzkim działał się jeszcze jako tako. Ale już po śmierci Krzysztofa rozpoczęły się niesnaski, a ród Batorów jął się chylić ku upadkowi. Syn jego Zygmunt, znękany niefortunnymi wojnami, ustąpił tron swemu bratu Andrzejowi, a sam szukał pomocy w Polsce u Jana Zamojskiego, swego powinowatego, męża Gryzeldy Batorówny, siostry króla Stefana. Lecz i panowanie Andrzeja było krótkie. Zwycięzony w bi-

2 W pisowni węgierskiej – Báthory.

twie z nasadzonym na niego przez Austrię hospodarem maltańskim Michałem, w czasie ucieczki do Polski został zabity. Co prawda po jego śmierci, znów Zygmunt powrócił na tron zawezwany przez wiernych Siedmiogrodzian, lecz nie mogąc się uporać z przeciwnościami, złożył rządy w ręce cesarza Rudolfa II i sam wkrótce potem zmarł.

Tron siedmiogrodzki objął Zygmunt Rakoczy, a ze świetnych, czasów Batorych, pozostała jeno tradycja.

Otóż w chwili naszego opowiadania, prócz Elżbiety Batorówny, która zamieszkiwała na Węgrzech, istniał ostatni potomek znakomitego rodu, Gábor, marzący o wskrzeszeniu dawnych tradycji.

Synowiec ten króla Stefana, wychowywany w Polsce i doskonale świadom naszej mowy i zwyczajów, marzył nie tylko o odzyskaniu siedmiogrodzkiego księstwa, ale i o koronie polskiej. Odziedziczywszy po jednym ze swych krewnych, panu na Eziecie, ogromne bogactwa, formował swą partię po cichu, a wszyscy ci, którym obrzydły rządy niemieckie, z nim się łączyli i przeciw cesarzowi Rudolfowi rozwijali chorągiew.

Prawdziwym powodem bytności Górki na Węgrzech było to, że zaprzyjaźniony od młodu, jeszcze w Polsce, z Gábo-rem, teraz dążył do księcia, by powiększyć liczbę jego stronników. Ale Gábor, na którego cesarz Rudolf zastawiał wciąż nowe pułapki, ukrywał się po dworach różnych węgierskich magnatów. A wojewodzie wiózł zapewnienie, że wielu Polaków gotowych jest pospieszyć mu z pomocą w odzyskaniu siedmiogrodzkiego księstwa. Toć Gábor cieszył się w Polsce taką popularnością, że w roku zeszłym, w czasie rokосу Zebrzydowskiego, głośno wołano, iż po obaleniu niemiętego

Zygmunta III, jego tylko na tron polski powołają. Tak to ściśle łączyły się wówczas dzieje Siedmiogrodu i Polski i takie, dzięki pamięci króla Stefana, panowało przywiązanie do rodu Batorych, a Gábor, wychowany w Polsce i zaprzyjaźniony z najznakomitszymi rodami, był uważany za swego.

Lecz o swej misji, która z konieczności musiała być wielce poufna, nie zamierzał Górka jeszcze opowiadać hrabinie. Jeśli powołał się na swą przyjaźń z Gáborem, to tylko dlatego, że sądził, iż zażyłość z jej krewnym, jeszcze szerzej mu wrota gościnności otworzy. Nie wiedział tylko jednej rzeczy. Że tajemnicza pani, której dwór taki był dziwny, nie cierpiała z różnych względów swego dość dalekiego krewniaka, a natomiast łączyły ją bliskie stosunki z Niemcami i rakuskim domem.³

– Gábor! – powtórzyła z ledwie ukrytym przekąsem. Ponoć bawi w którymś z pogranicznych zamków! Cesarz rad byłby go widzieć w okowach! – Po czym zmieniła temat. – O rodzie znakomitym Górków słyszałam! – rzekła. – Tedy cieszę się, że was goszczę, kawalerze! Lecz, pewnieście zmęczeniu i senni! Fitzke przeprowadzi was do przeznaczonych dla was komnat, a jutro z radością was obaczę! Bo chyba kilka dni zechcecie pobyc w moim zamku!

Górka skłonił się głęboko. Rad nawet był, że piękna pani nie zatrzymuje go dłużej. Zmoczony i zabłocony po całodziennym jeździe wśród ulewy z pewnym zażenowaniem rozmawiał z tą damą, która w stroju amazonki, zaiste, od boginki Diany była foremniejsza.

A gdy odchodził w ślad za garbusem, do przeznaczonych mu pokojów, wzrok hrabiny pobiegł za nim.

3 Habsburgami, rakuska, czyli austriacką dynastią.

– Wcale przystojny młodzian! – szepnęła i koniec języka zwilżył łakomie jej czerwone wargi, niczym pantery, łakomej na zdobycz. – Jenó...

Bat o złotej rękojeści znów niespokojnie uderzył o czerwoną cholewkę bucika.

Potem podeszła do wysokiego gotyckiego okna i przez to okno w zamyśleniu poczęła spozierać. O szyby dzwonił deszcz, a z dworu dolatywało wycie wichury.

Niedługo stała sama. Rychło pojawił się garbus i zameldował, że młody Polak znalazł się w przeznaczonej dla niego komnacie i że zaraz podadzą mu wieszak.

– A ten drugi? – rzuciła.

– Szaleniec? – Ukazał w złym uśmiechu żółte i spróchniałe zęby. – Czeka zamknięty w izbie na dole! Jak miłościwa pani rozkaże z nim postąpić?

– Wprowadzisz go do narożnej komnaty! Tam... tylko... ja... i ty... Zrozumiałeś?

Skinął głową.

– A Polak niczego się nie domyślił?

– Uwierzył, że obłąkany!

– Uwierzył? A nie gadał o Ilonie?

– Stałem z dala. Nie mogłem posłyszeć. Ale chyba nie starczyło czasu!

– *Basserem terem tiszem!* – zakląła nagle po węgiersku i nikt nie przypuściłby, że z tak pięknych ust może paść podobnie ordynarne przekleństwo. – Ja z dziadem koniec zrobię! Przywiedź go!

Pobiegła przodem.

Zaiste, dziwnie przedstawiała się komnata, w której hrabina zamierzała przyjąć tajemniczego, starego człowieka. Mie-

ściła się w narożnej baszcie, była okrągła i pozbawiana wszelkich sprzętów. Wydawało się, że nikt do niej nigdy nie zagląda, gdyż pajęczyna wiła się po ścianach, a kurz gromadził po kątach. Zazwyczaj stała zamknięta i pod najsurowszą karą zabronione zostało do niej zazierać. Lecz gdy Elżbieta Nádasy znalazła się w tej osobliwej izbie, jakiś wyraz złośliwego tryumfu zarysował się na jej twarzy.

– *A terem tiszem!* – powtórzyła.

W sąsiednim, prowadzącym do izby korytarzu rozległy się kroki. Gniew z twarzy hrabiny znikł, a zastąpił go pozornie łagodny wyraz.

Na progu komnaty pojawił się stary mężczyzna, a w ślad za nim garbus.

– Podejdźcie bliżej! – wyrzekła piękna pani uprzejmie.
– Cóż was sprowadza?

Stary człowiek postąpił naprzód kilka kroków. Tymczasem Fitzke zbliżył się do jednej z gołych ścian i wsparł się o nią dłonią.

Nieznajomy raptem runął na kolana.

– Oddaj mi, jasna hrabino, Ilonę! – zawołał potężnym głosem.

Patrzyła na niego, jak się patrzy na obłąkańca i lekko, niby ze zdziwieniem poruszyły się jej ramiona.

– Gadacie nieprzytomnie, człowieku! Jaka Ilona! Śród moich dworek nie ma takiej dziewczyny!

– Nie dworka... Nie dworka – powtarzał coraz bardziej wzburzony. – Ale ona tu jest...

– Nic mi o tym nie wiadomo!

– Jest, jasna hrabino! Wyście ją porwali i więzicie w tym zamku! Na własne oczy widziałem waszych ludzi, gdy ją

uwozili! I ten garbus przeklęty był wśród waszych hajduków
– wskazał na Fitzkego.

– Oszaleliście?

– Nie oszalałem jeszcze, choć czuję, że oszaleję. I po coście ją porwali. Ona biedna, na okup nie ma... Co chcecie z nią zrobić? Zaklinam was, miłośnica pani, powiedzcie...

– Powtarzam wam, nieszczęsny człowieku, żeście oszaleli...

Jego nagle porwał gniew.

– Zaprzeczacie! Daremne są tu moje błagania! Lecz ta sprawa nie ujdzie wam tak bezkarnie, hrabino. Myślicie, że Ilona nie jest ze znakomitego rodu i nie znajdzie się nikt, żeby za nią się ująć? Nie moja ona córka, ale będę chodził wszędzie i szukał na was pomsty...

– Grozicie?

– Za jej śmierć, wy śmierć poniesiecie, krwawa hrabino.

– Ach, tak...

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Elżbieta dała jakiś znak garbusowi, po czym odskoczyła w tył o kilka kroków. Fitzke wsparł się o ścianę, a w tejże chwili spod starego osuwała się podłoga.

– Jezus, Maria! – miał tylko czas wykrzyknąć i runął w niespodzianie rozwartą przepaść. Jeszcze sekunda, a podłoga powróciła na swe miejsce i w izbie wyglądało wszystko tak, jak gdyby nic niezwykłego tam nie zaszło.

– Nie będzie nam już gadał o zemście! – syknęła zduszonym przez gniew głosem. – A służbie powiem – zwróciła się do garbusa – żeś go wyprawił przez furkę bocznym wyjściem! Ekstraordynaryjne tylko – dodała – co on gadał o znamienitym pochodzeniu tej dziewczyny?

Tymczasem Górka, znużony wędrówką, spał smacznie w wygodnym łożu. Chwilami tylko budziły go ze snu jakieś – niby jęk – z dala dobiegające odgłosy. Nie zwracał na nie jednak uwagi i mniemał, że to wicher na dworze tak hula.

PIĘKNA ELŻBIETA BATORÓWNA

Nazajutrz, gdy zbudził się Górka, słoneczne promienie zalewały komnatę. Burza, która szalała całą noc, minęła i zza chmur wypłynęło dość jeszcze ciepłe, październikowe słońce.

W jego potokach zarówno sam zamek, jak i komnata, w której nocował, wydawały się mniej ponure. Był to duży pokój urządony z przepychem i musiała hrabina uważać Górkę za znakomitego gościa, skoro mu taką paradną izbę przeznaczyła. Stało tam łoże olbrzymie o kręconych kolumnach z baldachimem, ciężkie rzeźbione szafy i ciężkie fotele, a ściany pokrywały cenne gobeliny przedstawiające nieco wyuzdane sceny ze starożytnej historii. Górka, sam pochodzący z magnackiej rodziny i po różnych pańskich dworach bywały, najlepiej mógł ocenić ten przepych urządzenia. A nad wielkim kominem, pięknie rzeźbione i pomalowane, znajdowały się złączone herby Nádasdych i Batorych. W rogu, na zydlu, spoczywało zawiniątko, wczoraj tu jeszcze zapewne przyniesione, z ubraniem Górki. Ucieszył on się z niego szczerze, bo zamierzył przemienić przemokłe i zabłocone ubranie na inne, by w całej okazałości dziś wystąpić przed hrabiną. Wiedział, że jest przystojnym kawalerem, bogatych szat mu nie brakło, a piękna twarz i promieniste oczy hrabiny Elżbiety wciąż tkwiły w jego pamięci.

Porwał się tedy z łoża i jął się pospiesznie ubierać, gdy rozległ się stuk w drzwi, a wnet potem ukazał się jego pacholik. Przybywał, by panu dopomóc przy rannym przyodziewku.

– Cóż, Jaśku – rzekł wesoło do pacholika. – Dobry mieliśmy nocleg? Nakarmili cię i napoili należycie Madziary?

Chłopak miał jakąś zafrasowaną minę.

– Dobry to dobry, panie wojewodzicu! – odparł. – Skakali ludzie jaśnie hrabiny koło mnie, jak mogli! Nakarmili i napoili, a naszym koniom dali tyle owsa, że i przez tydzień by nie zjadły. I gadali ze mną tak, jakbym był szlachcicem, bo przecie rozumiem ich mowę...

– To czegoż, miast się radować, gębę wykrzywiasz? Wiadoma rzecz, lubią nas w tym kraju. Polak Węgier dwa bratanki i do szabli i do szklanki!

– Nie to...

– Jak to, nie to?

– Nie podoba mi się w tym zamku!

Górka uśmiechnął się lekko.

– Czemuż się tu waszmości nie podoba, zacny Jaśku?

Pacholik zniżył głos.

– Jakaś tu jest tajemnica, panie wojewodzicu! – szepnął. – Tajemnica, którą oni ukrywają. Coś, czego wyrozumieć nie mogą. Te hajduki goszczą i skaczą, a w rzeczy samej człowieka ślepiami by prześwidrowali. Ruszajmy stąd jak najprędzej, wasza miłość...

– Głupiś, Jaśku! Wcale mi do odjazdu nie spieszno.

– A ten człowiek wczoraj?

– Obląkany!

– Obląkany? To czemu garbus patrzył z takim niepokojem, kiedy on szeptał coś waszej miłości i wnet go odciągnął?

Ale Górka nie zamierzał wdawać się w dłuższą dyskusję ze swoim pacholikiem. O wczorajszych wypadkach sam wyrobił sobie zdanie; co prawda, głównie pod wpływem pięknych, olbrzymich oczu hrabiny. Wiedział zresztą, że zwyczajem Jaśka, młodego, dwudziestoletniego chłopaka, było węszenie historii niezwykłych.

– Powtarzam, głupiś! – krótko uciął. – Poza tym nie przeszkadzam! Szukaj dalej, mości Jaśku, tajemnicy i dowiedz się, co się z tym szalonym dziadem stało! A teraz pomóż mi się przyodziać!

Rychło Górka stał przebrany w piękny kontusz o drogoceńnych zapinkach, spięty pod szyją wielkim soliterem⁴. Stał i podkręcając niewielkiego wąsika, przyglądał się swemu odbiciu w weneckim lustrze, zdobiącym jedną ze ścian komnaty. Spojrzał z zadowoleniem, bo lustro odbijało postać zręcznego i pełnego buty kawalera. Dziś mógł przed hrabiną wystąpić godnie i jako potomek znakomitego polskiego rodu i jako przystojny młodzian. Toteż, gdy przypasywał do boku złotem nabijaną karabełę, przez zęby, myśląc o pięknej Elżbiecie, mruknął:

– Ano, obaczym...

Odziawszy się i spożywszy przyniesiony do komnaty przez służebne posiłek, zszedł na dół, przebył długi szereg pokojów i znalazłszy się na dziedzińcu, jął oglądać zamek.

Wszędzie napotkani hajducy i służba witali go z oznakami niezwykłego respektu.

4 Oprawny duży kamień szlachetny.

Zamek za dnia wydał mu się jeszcze wspanialszy. Pomiedzy dwiema basztami, jedną wyższą, a drugą niższą, mieścił się mur dwupiętrowy. Na dole znajdowała się siedziba hajduków – czyli straży przybocznej hrabiny, tudzież zbrojownia, na górze mieszkania hrabiny Nádasdy i jej służebnic. W mniejszej baszcie gościnne pokoje i tam właśnie nocował; przeznaczenie większej było mu nieznane. Zapewne znajdowała się tam strażnica i punkt obserwacyjny, bo na górze dojrzał uzbrojonego w halabardę hajduka, który wartował tam, rozglądając się po okolicy.

Zamek otoczony był głęboką fosą i stanowił twierdzę trudną do zdobycia, co w owych czasach ciągłych niepokojów nie przedstawiało nic niezwykłego.

Krążąc po wielkim dziedzińcu zamkowym, Górka mimowolnie przypominał sobie słowa Jaśka. Cóż za tajemnicę mógł zawierać zamek i co za głupstwa plół chłopak? Że hajducy byli uzbrojeni od stóp do głów, nie stanowiło nic dziwnego. Że niektórzy z nich spoglądali spode łba ponuro, takie już musiało być ich usposobienie. Lecz dobrani byli chłop w chłopa i Górka wprawnym okiem stwierdzał, że w razie potrzeby sprawni musieli z nich być żołnierze.

Krążył tedy Górka, napotykanym niskimi ukłonami lub wojskowym pozdrowieniem, podziwiając zamek. Zastanowiło go tylko, że gdy zbliżył się do dużej baszty, strażnik zawahał się i jakby chciał zagrozić mu wejście. Lecz Górka cofnął się w porę sam, nie zamierzając się wydać nadto ciekawym. Zresztą tuż obok niego rozległ się głos:

– Wasza miłość ogląda nasze zamczysko? Jeśli zezwoli, sam go oprowadzę!

Obok Górki stał garbus niczym spod ziemi wyrosły.

W ślad za tym przewodnikiem, który wydawał się przełożonym nad innymi – dziwiło Górkę, że podobne funkcje powierzyła hrabina podobnemu monstrum – zwiedził szlachcic polski i stajnie, i zbrojownie. W stajniach mógł podziwiać dobór najprzeróżniejszych pięknych bachmatów, z których niejeden pochodził z daleka, ba, nawet z Syrii i Arabii. Zbrojownią zaś poszczycić by się mógł nawet panujący książę. Mieściły się tam zbiory broni najprzeróżniejszej, w które w razie potrzeby można było uzbroić liczne zastępy ludzi.

Na tych zajęciach, tak miłych dla rycerskiego serca, upłynęło kilka godzin. Właśnie kończył Górka podziwianie wspinających rzędów i rynsztunków, gdy nadbiegła służebna z oznajmieniem, że miłościwa pani hrabina oczekuje z obiadem na rycerza.

Zastał piękną Elżbietę w olbrzymiej sali jadalnej.

O ile komnaty hrabiny urządzone były we wschodnim stylu i przeważał tam orientalny przepych makat i kobierców, o tyle sala jadalna zachowała ściśle rycerski charakter. Wisiał tam szereg portretów rodzinnych, pamiętających jeszcze czasy Hunyadygo⁵ i Macieja Korwina⁶. Pośrodku zaś wisiał konterfekt hrabiego Nádasdyego, zmarłego małżonka Elżbiety. Zdziwiło tylko Górkę, że ubrany był w strój sprzed lat kilkudziesięciu. Widocznie w wieku późniejszym ożenił się z hrabiną.

– Jako spało wam się kawalerze, w murach mojego zamczyska? – zapytała z czarującym uśmiechem piękna pani na powitanie.

5 János Hunyady (1407-1456) – wojewoda siedmiogrodzki, regent Węgier.

6 Maciej Korwin (1443-1490) – król węgierski i czeski.

Górka ucałował wyciągniętą rękę i odpowiedział misternie ukutym komplementem, wzrokiem zaś wpijał się w hrabinę. Dziś, miast stroju amazonki, w jakim widział ją wczoraj, nosiła dworską prawie, mody hiszpańskiej, którą wprowadził austriacki dwór – suknię długą, czarną aksamitną, bogato naszywaną perłami, mocno wciętą w pasie.

– Siadajcie, rycerzu! – rzekła, wskazując mu obok siebie miejsce.

Obiad spożywali sami. Widocznie nikt urodzeniem nie był dostatecznie godzien, by obok nich zająć miejsce, lecz za to po olbrzymiej komnacie, kręciła się liczna służba.

Górka siadł i znów podziwiał bogatą zastawę stołu. Uginał się on dosłownie pod licznymi złotymi i srebrnymi misami, a w roztruchanach i pięknie rżniętych kryształowych pucharach tysiącnymi barwami mieniło się wino. Toteż rychło, pod wpływem znakomitych potraw, zaprawionych mocną węgierską papryką, i stuletniego tokaju, świat począł mu się wydawać piękny, a czarne oczy hrabiny – najpiękniejsze na świecie.

– Dla własnej tedy przyjemności – zapytała Elżbieta, gdy pierwszy głód został nasycony i spostrzegła, że policzki Górki poczęły czerwienieć – podróżujecie po świecie? Ten powód skłonił was tylko – zręcznie badała – do zwiedzenia naszej Hungarii?

– *Nulla vita, nisi Hungaria! Nie ma życia jak na Węgrzech!* – odrzekł uprzejmie Górka, po czym niespodziewanie mu się wyrwało. – Ale i z inną bawię tu sprawą!

– Inną? – powtórzyła na pozór obojętnie.

SPIS TREŚCI

TAJEMNICZY ZAMEK
PIĘKNA ELŻBIETA BATORÓWNA
MISTRZ ATREFIUS
ALEŻ TO WIEDŹMA, PANIE...
W LOCHACH
UCIECZKA GÓRKI
SĄD GRAFA VON HERMANSTHALA
UWIEZIONY
DO KOGO POŚPIESZYĆ PO POMOC?
SPOTKANIE
WIĘC JUŻ NIE BĘDĘ MŁODA!
ELŻBIETA I GÁBOR
WIĘZIENIE ILONY I MARYJKI
PIERŚCIEŃ ELŻBIETY BATORÓWNY